



Witold Liliental

Afryka Południowa – kraj mojej młodości

Mój czas dojrzewania, który przypadł na lata pięćdziesiąte ubiegłego stulecia, przyszło mi spędzić w Unii (dziś Republice) Południowej Afryki, kraju niezwyklej urody i niezwyklej konfliktów społecznych. W kraju, który na świecie na zawsze kojarzony będzie z nieludzkim systemem zwanym apartheid, dziś już historią. Moja świadomość i moje samodzielne myślenie kategoriami już nie dziecięcymi, ale jeszcze nie dojrzałymi, kształtowała się na tle tego, co widziałem wokół siebie. A widziałem wiele i uczyłem się. Ten etap mojego życia miał, zresztą, niebagatelny wpływ na wszystko, co stało się później. Po pierwsze, nauczyłem się we wczesnej młodości biegle angielskiego, co dało mi uprzywilejowaną pozycję na rynku pracy na całe życie. Po drugie, wzrastałem i uczyłem się w kraju niekomunistycznym, co dało mi całkiem inną perspektywę świata po powrocie do kraju. Po trzecie, za młodu zetknąłem się z wielką niesprawiedliwością społeczną, skierowaną przeciwko innym ludziom. Ja sam, mając białą skórę, należałem do klasy uprzywilejowanej, ale widziałem, co się wokół mnie dzieje. Ta świadomość zaważyła na moim światopoglądzie na resztę życia.

W Południowej Afryce nie odczuwało się antysemityzmu wśród Polaków. Polonia była wówczas maleńka i prawie wyłącznie inteligencka. Niektórym polskim arystokratom z książęcymi tytułami pomagali urządzić się po wojnie polscy Żydzi, z którymi arystokraci utrzymywali serdeczne stosunki. Uprzedzenia rasowe skierowane były tylko wobec pozbawionych praw czarnoskórych mieszkańców tego kraju. To w pełni wystarczyło tym, którym bez uprzedzeń żyć byłoby trudno.

Historia i stosunki społeczne kraju na południowym krańcu kontynentu afrykańskiego, w dodatku sprzed ponad pół wieku, nie stanowią „breaking news”, ale być może zainteresują Czytelnika.

Kiedy byłem mały, miałem właściwie dwa wielkie marzenia. Pierwsze – zobaczyć prawdziwego, jak wówczas się wyrażałem bez jakichkolwiek uprzedzeń rasowych – Murzyna, a drugie – polecieć prawdziwym samolotem. Dziś tego określenia nie używam, rozumiem, że jest ono upokarzające i stygmatyzujące ludzi za kolor ich skóry, ale wówczas nie używało się innego. Było słowem neutralnym. Raz widziałem mężczyznę z czarną skórą na Marszałkowskiej, ale to było krótko, poza tym, on był ubrany nie tak jak w *Kolorowych dzieciach* Janiny Porazińskiej, tylko w palto zimowe, niósł teczkę i siedł z jakimś innym panem, z którym rozmawiał w języku, który brzmiał obco. Chciałem za nim iść, ale Mama mnie poganiała w innym kierunku. W krótkim czasie po tym obydwie moje życzenia miały się spełnić prawie jednocześnie. Wyjechaliśmy z Polski do rodziny w Johannesburgu, w Płd. Afryce. Odnależli nas po wojnie i po czterech latach starań otrzymaliśmy od władzy ludowej zgodę na wyjazd. Lecieliśmy tam nie czym innym jak prawdziwym samolotem. Samolot wylądował po drodze w Leopoldville (dziś Kinszasa) i dalej nie mógł lecieć, bo coś się zepsuło. Były to czasy na długo przed porywaniem samolotów i na płycie lotniska kręcili się swobodnie mali chłopcy o hebanowych skórach, pomagając pasażerom z bagażem. Mama dała im jakieś pieniądze i widać było ich wielce uradowane buzie. Przenocowaliśmy w hotelu pod moskitierą i następnego rana zawieziono nas na lotnisko, by

kontynuować podróż. Przed samolotem kręcili się ci sami chłopcy. Byli nieco starsi ode mnie i bardzo mi imponowali. Kiedy zbliżyliśmy się do nich, podałem obydwu rękę na powitanie. Wyciągnęli rękę do mnie też i coś powiedzieli, śmiejąc się, czego nie rozumiałem. Kiedy kilka godzin później, już u celu podróży, ściskaliśmy się z ciotką, wujkiem i ich córką, moją rówieśnicą, pochwaliłem się sam, że „już widziałem Murzynów i nawet z dwoma się zaprzyjaźniłem i na lotnisku rękę mi podali”, co ja uważałem za wielki zaszczyt (znów w tym miejscu cytuję wyrażenie, jakiego wówczas użyłem jako dziecko). Wujek spojrział na mnie poważniej i odpowiedział: „W tym kraju biały człowiek czarnemu ręki nie podaje”. Była to moja pierwsza w życiu lekcja o dyskryminacji rasowej, której jako dziecko nie znałem ani nie rozumiałem. Nie żeby wujek był rasistą. Jako architekt budował wiele szkół dla rdzennej ludności afrykańskiej i był w mojej obecności bardzo uprzejmy wobec kontraktora – Afrykańczyka. Wypowiadając do mnie te słowa, po prostu stwierdził pewien oczywisty fakt. Pamiętam, jak kiedyś John, służący, uszkodził samochód nieznacznie, wycofując go z ciasnego garażu, i przyszli jacyś ludzie z ubezpieczalni, a wujek Johna bronił. John i Anna, wierni i mili służący, mieszkali w wolnostojących drewnianych przybudówkach na posesji wujka. Prawo nie pozwalało im spać w tym samym budynku co biali.

Moje pierwsze uświadomienie sobie problemu apartheidu pochodzi z moich rozmów z Johnem, kiedy już na tyle opanowałem angielski, że mogliśmy się porozumieć. John mówił mi o tym, że jego ludzie nie mogą żyć na równi z białymi, że są źle traktowani przez władze, że nie mają praw. Jedno jego zdanie zapamiętałem po dzień dzisiejszy: „We must say: everything public” (Musimy powiedzieć, żeby wszystko było publiczne). To, że w szkole, do której mnie posłano, były same białe dzieci, jakoś mnie nie raziło, być może nie zastanawiałem się nad tym, bo w Polsce w szkole też w końcu były tylko same białe dzieci, więc tu pod tym względem nie różniło się i nie zwracałem uwagi na brak dzieci afrykańskich. Szkoła była w czyściutkim budynku, dzieci codziennie podczas przerwy dostawały butelkę mleka i owoc (tak było we wszystkich szkołach, na koszt rządu). Dopiero kilka lat później miałem pojechać z wujkiem na budowę do „township”, czyli blaszanych ruder, w których mieszkali czarni obywatele tego samego kraju bez praw obywatelskich. Widziałem szkołę. Dzieci siedziały na długich ławkach, nie tak jak my, tzn. po dwie osoby, i nie miały ani pulpitów, ani zeszytów (które nam szkoła dawała), tylko tabliczki, na których pisały kredką. Klasa nie miała ścian, z wyjątkiem jednej, a reszta to były zawieszane na drągach kotary – zasłony. Jedna z czterech stron klasy była po prostu otwarta, żeby światło docierało, bo pozostałe nie miały okien. Myśmy do szkoły nosili schludne mundurki, każda szkoła miała swoje kolory z godłem szkolnym na kieszonce. Tu dzieci czarne ubrane były w łachy. Widać było straszną biedę i dzieci były potwornie chude. To było moje pierwsze, szokujące zetknięcie z przerażającą różnicą, wręcz przepaścią między warunkami białych i czarnych dzieci.

Jeszcze jednego nauczyłem się dość szybko. W parkach dla dzieci, gdzie jeszcze chętnie chodziłem huśtać się i zjeżdżać, wszędzie widniały napisy: „European children only – blanke kinders aleen”, ostrzegające w językach angielskim i afrikaans, że tylko dla dzieci „europejskich”. Zakaz obejmował też dzieci „mieszane”, hinduskie i nawet chińskie.

Kiedy w rok po przybyciu do Johannesburga już umiałem mówić po angielsku (dzieci uczą się języków szybko), brałem udział z całą szkołą w jakimś ogólnokrajowym święcie i uczono nas słów pieśni:

*South Africa, South Africa / Południowa Afryko, Południowa Afryko
Thy children sing of thee / Twe dzieci śpiewają o tobie
Our lovely land, our fatherland / Nasz piękny kraju, nasza ojczyzno
Where all is bright and free! / Gdzie wszystko jest jasne i wolne!*

Już wówczas zaczynałem świadomie obserwować i zadawałem sobie pytanie, dlaczego ten kraj jest taki wolny tylko dla białych ludzi.

Ale poznałem także inną historię, całkiem prawdziwą. Ci biali – „Europejczycy”, jak na nich mówiło się, nie byli ani Anglikami, ani Holendrami, ani żadnymi kolonistami i Płd. Afryka naprawdę od dawna nie była krajem kolonialnym. Była krajem rasistowskim, to smutna prawda, ale

nie kolonialnym. Kiedy w latach sześćdziesiątych, już po moim powrocie do Polski, kraje afrykańskie kolejno wyzwalaly się, z Konga Belgijskiego (dziś Zair) Belgowie mogli wrócić do swojego kraju, z Mozambiku to samo mogli uczynić Portugalczycy, z Kenii do Anglii mogli powrócić Anglicy. Biali Południowoafrykańczycy pochodzenia angielskiego nie uważali się za Anglików, jakkolwiek tron brytyjski uważany był jeszcze wówczas za nadrzędny majestat, chociaż już wyłącznie obrzędowy. Biali pochodzenia głównie holenderskiego, potomkowie Burów, czyli Afrykanerzy, jak sami siebie nazywali, też nie uważali się za Holendrów. W Płd. Afryce mieszkali po prostu biali Południowoafrykańczycy i to była ich ojczyzna. Oni nie mieli dokąd wrócić. Tu urodzili się ich przodkowie, tu walczyli, tu żyli się z tą ziemią. Oni innej ojczyzny nie mieli. Dlaczego tak było?

Żeby zrozumieć ten kraj, należy zrozumieć historię Płd. Afryki. Uczyłem się tej historii jako dziecko wiele lat temu w szkole południowoafrykańskiej. Jest w niej wiele romantyzmu, heroizmu, wielkich idei i – jak wszędzie – ludzkiej podłości.

Od drugiej połowy XV stulecia portugalscy żeglarze próbują dotrzeć do Indii i Chin szlakiem wokół kontynentu afrykańskiego. W 1488 roku Bartolomeu Diaz dociera do południowego skraju kontynentu afrykańskiego, ale zawraca z uwagi na straszne burze. W cztery lata później Vasco da Gama okrąży tenże skraj i płynie dalej, opływając Afrykę i docierając do Indii. Opłynąwszy szczęśliwie najbardziej na południe wysunięty skraj kontynentu afrykańskiego i przekonawszy się, że dalej droga prowadzi na wschód, z radości nazywa opłynięty cypel Cabo de Buena Esperanza – Przylądkiem Dobrej Nadziei.

Handel z Azją w tym czasie staje się głównym celem gospodarczym przedsiębiorców europejskich. Moźnowładcy wydają pokaźne sumy na ekspedycje, które cel ten mogłyby urzeczywistnić. Krzysztof Kolumb, płynąc na zachód, przez pomyłkę odkrywa Amerykę, myśląc, że to Indie. Z tego powodu rodzimi czerwonoskórzy mieszkańcy tego kontynentu zostają przez niego nazwani Indianami i tak już zostało. W końcu, Magellan odkrywa drogę do Indii dookoła świata, udowadniając, wbrew świętym naukom, że świat jest okrągły. Jednakże droga wokół Afryki jest najkrótsza i mniej niebezpieczna, bo przez większą część drogi statki trzymają się brzegów Afryki.

Z czasem mała Holandia staje się potęgą morską, wyprzedza Portugalię i Hiszpanię w ilości statków i częstotliwości wypraw zamorskich. Na początku XVI stulecia już prosperuje Holenderska Kompania Wschodnich Indii (po angielsku: Dutch East India Company), która regularnie wysyła statki wokół Afryki. Statki wracają z korzeniami i innym cennym importem, ale za to z połową załogi. Druga połowa umiera w drodze na szkorbut z braku świeżej wody pitnej i witamin. Holendrzy postanawiają zorganizować stację zaopatrzeniową, która będzie na miejscu hodowała warzywa i zaopatrywała w nie oraz w świeżą wodę statki przepływające w drodze do Indii. Wybór naturalny pada na Przylądek Dobrej Nadziei.

I tak 6 kwietnia 1652 roku emisariusz holenderski Johann van Riebeeck ląduje na flagowym statku Dromedaris, na czele flotylii złożonej z sześciu jednostek pływających, w miejscu, które później nazwano Miastem Przylądkowym – po holendersku Kaapstad. Dziś po angielsku znane jest jako Cape Town. Od tego dnia liczy się oficjalna historia Południowej Afryki. Dziś Cape Town jest wielkim ośrodkiem przemysłu, nauki i kultury i jednym z najpiękniejszych miast świata, położonym u stóp Góry Stołowej, której towarzyszą z lewej malownicze szczyty Devil's Peak, a z prawej Lion's Head, otoczonym bujną zielenią.

Na wybrzeżu, zza krzaków obserwowali przybyszów nieufnie Hotentoci – dziś lud prawie wymarły. Nie byli to ludzie rasy negroidalnej, karnację mieli znacznie jaśniejszą i byli niewielkiego wzrostu. Ponieważ Europejczycy byli technologicznie i pod każdym innym względem znacznie bardziej zaawansowani od prymitywnych ludów tubylczych, szybko i łatwo podporządkowali je sobie, stwarzając pewną formę niewolnictwa. Stacja zaopatrzeniowa została sprawnie zorganizowana, wybudowano fort obronny, wzięto się za uprawy. Białym pracownikom-osadnikom przydzielono ziemię pod uprawy, ale wprowadzono też drakońskie prawa wytyczone przez

protestancki kościół kalwiński. Za niepojawienie się w kościele na niedzielnym nabożeństwie groziły surowe kary fiskalne. Obowiązywał strój ascetyczny, dokładnie zakrywający ciało. Biali byli nadzorcami, Hotentoci zostali zmuszeni do pracy w polu i pomagali białym w tropieniu zwierzyny, co potrafili robić doskonale.

Miasteczko się rozrastało, wytyczano ulice, budowano domy murowane, rodziły się nowe pokolenia. Biali swoje europejskie umiejętności wykorzystali do tworzenia i organizowania nowego życia na wzór tego, które pierwsze pokolenie pamiętało jeszcze z Holandii. Ze starego kraju napływały też nowe grupy imigrantów, czasem szukających przygód, czasem wykorzystujących korzystne warunki kontraktów pracy za granicą. Po jakimś czasie już nie tylko Holendrzy przybywali, bo także i niemieccy protestanci, o czym do dziś świadczą nazwiska takie jak Wentzel, Schwartz czy Kopf. Brzmi to też ironicznie, ale nową osadę zasilili również ofiary nietolerancji. Katarzyna Medycejska, wielka orędowniczka katolicyzmu, kazała ściąć francuskich protestantów – Hugonotów. Ci, którzy uniknęli rzezi w noc św. Bartłomieja, uciekli jako prześladowani do już protestanckiej Holandii. Ale w Holandii też za bardzo ich nie chciano (czy obecnie szukający azylu uchodźcy ze wschodu są u nas mile przez wszystkich widziani?). Rząd holenderski ich przyjął, ale pod warunkiem zasilania stacji zaopatrzeniowej na Przylądku Dobrej Nadziei. I tak trafili tam du Toit, Labuchagne, Marais, de Malherbe i de Villiers oraz liczne inne rody. Przywiozły ze sobą to, co umiały najlepiej – umiejętność kultywowania winorośli i robienia win. Do dziś wina południowoafrykańskie należą do najlepszych na świecie. Hugenoci szybko zapomnieli języka francuskiego i przeszli na holenderski. Ale nazwiska pozostały, tyle że już dziś są całkiem inaczej wymawiane.

O czarnoskórych ludach afrykańskich jeszcze nikt tam nie słyszał, tym bardziej nie widział. W tamtym czasie szczepy plemienia Bantu, jedne pasterskie, inne wojownicze, wędrowały koczowniczo z północy na południe wzdłuż wschodniej części Afryki, ale miało minąć jeszcze około stu lat, zanim nastąpiło pierwsze spotkanie z białymi osadnikami.

Tu mała dygresja. Wiadomo z badań naukowych, że kolebką rodu ludzkiego jest właśnie południowa Afryka. Setki milionów lat temu właśnie na tych terenach żyli pierwsi ludzie, już homo erectus. Do dziś można zobaczyć (sam widziałem) w jaskiniach w pobliżu Maseru (stolica Lesotho, dawniej Basutoland) kolorowe malowidła przedstawiające sceny myśliwskie. Ludzie ci przez następne miliony lat wędrowali na północ. Już w czasach starożytnych, ale udokumentowanych, znani byli ludzie z czarną skórą, zatrudniani na dworach perskich, w Grecji i w Rzymie. Ci pochodzili głównie z Afryki Północnej (przeważnie z Sudanu). Dopiero w czasach mniej więcej tych samych, co europejski renesans, zaczął się powolny marsz plemienia Bantu z Afryki centralnej wzdłuż wschodniej części kontynentu na południe. Ich zetknięcie z białymi osadnikami nastąpiło dopiero w połowie XVIII wieku we wschodniej części południowej Afryki, mniej więcej w tych okolicach, gdzie dziś jest miasto Port Elizabeth. Po stu latach kolonizacji Ziemi Przylądkowej zaczęły się podróże eksploracyjne osadników na wschód. Spotkanie z plemionami Bantu nie należało do najprzyjemniejszych.

Kolejne pokolenia przychodziły na świat i kolonia na Przylądku Dobrej Nadziei rozrastała się. Zgodnie z obyczajami tamtych czasów osadnicy utrzymywali niewolników, Hotentotów obojga płci. Zdarzało się jednak nierzadko, że pan domu zapragnął mieć dodatkową rozrywkę, poza własną żoną. No cóż, zdarza się tak nie tylko w Płd. Afryce. Jeśli młoda niewolnica mu się spodobała, nie miał większych trudności w przekonaniu jej, by dzieliła z nim łożę, a surowa reguła kościoła kalwińskiego jakoś przymykała oczy. W ten sposób zrodziło się pierwsze pokolenie ludzi, których (za moich czasów w Płd. Afryce) nazywano „Cape Coloureds”. „Przylądkowi Kolorowi” to klasa inna niż Afrykańczycy rasy negroidalnej. Pozbawieni wszelkich praw i pogardzani zarówno przez białych, jak i czarnych mieszkańców (choć z czasem z domieszką krwi i tych ostatnich) i rozproszeni po całym kraju, doczekali się nazwy „God’s stepchildren” – pasierbów Pana Boga. Nikt się do nich nie przyznawał, nikt ich w obronę nie wziął. Jest to historia ludzi bardzo nieszczęśliwych i pogardzanych bez jakiegokolwiek powodu. W czasach apartheidu lat

pięćdziesiątych i sześćdziesiątych minionego stulecia niektórzy z nich, mając po kilku mieszkankach pokoleniowych bardzo jasną skórę, usiłowali uchodzić za białych. Po części przypomina to dramat polskich Żydów w czasie okupacji, usiłujących przeżyć na fałszywych papierach jako „aryjczycy”. Pamiętam sztukę teatralną wystawioną w jednym z awangardowych teatrów Johannesburga (kiedy już byłem prawie dorosły) o młodej kobiecie, która swój „wstydlivy” rodowód ukrywała, żeby móc żyć godnie, a przynajmniej normalnie. W sztuce pokazana była metoda stosowana przez policję w wykrywaniu takich „przestępców”, polegająca na sprawdzaniu skłonności włosów do skręcania się. Podejrzanej wkładano we włosy ołówki i kazano nachylić głowę. Jeśli ołówek wypadł, zostawiano ją w spokoju, jeśli zatrzymał się we włosach – w dodatku do pozbawienia praw przysługujących białemu człowiekowi – czekała na nią surowa kara.

W początkach XVIII wieku stacja zaopatrzeniowa już była zorganizowaną i zagospodarowaną Krainą Przylądkową, miała nawet własnego gubernatora. Z tamtych czasów pochodzą piękne zabytkowe dworki elity, jak Groot Constantia, pałacyk wybudowany przez Simona van der Stel, jednego z kolejnych gubernatorów, dla swojej córki Konstancji. Stanowi on dziś jedną z głównych atrakcji turystycznych okolic Cape Town. Można w tym obiekcie dokonać degustacji cenionych na świecie win z tego regionu Płd. Afryki. W XVIII wieku zaczęto podejmować wyprawy eksploracyjne i ekspansję w kierunku wschodnim i północnym. Na północy trafiono wpierw na Buszmenów, plemię karłowate, nieco wyższe od Pigmejów pod względem wzrostu, żyjące dziko na pustyni zwanej dziś Kalahari, bardzo prymitywne, ale wspaniałe ze względu na umiejętności tropienia zwierzyny i wytrzymywania na pustyni. Jak można łatwo się domyśleć, Buszmeni dość szybko stali się niewolnikami.

I tak to szczęśliwie żyła i wojowała Kolonia Przylądkowa i prawdopodobnie jej historia mogła się potoczyć całkiem inaczej, gdyby nie wypadki w dalekiej Europie, o których koloniści wiedzieć nie mogli. Co ich to, zresztą, mogłoby obchodzić, że pewien kapral armii francuskiej, rodem z Korsyki, zdobywszy podczas rewolucji poparcie, ogłosił się cesarzem Francji i chciał zawojować sąsiednie państwa? Potrzebując żołnierza do swoich podbojów, oferował Polakom nadzieję na wyzwolenie. Ale zagrażał potęgze Anglii, która na morzach była niezwyciężona.

Anglia zdawała sobie sprawę z tego, że Napoleon mógłby pokusić się o zdobycie tak strategicznego punktu na mapie świata, jakim była Kraina Przylądkowa. Przekonała więc króla holenderskiego, by na czas wojny zgodził się na przejęcie kontroli nad Kolonią w celu ochrony mieszkańców Przylądka od ewentualnej inwazji floty francuskiej. Ale telegramy nie były jeszcze wynalezione, a ludność Przylądka o porozumieniu nie wiedziała. Kiedy w 1806 roku na horyzoncie pokazały się brytyjskie okręty wojenne, ludność Przylądka stoczyła na wybrzeżu Bloubergstrand krótką walkę, ale przewaga Brytyjczyków była miażdżąca. Wzięli oni w posiadanie miasto i całą Krainę. Miało to trwać tylko na czas wojny, ale jakoś przedłużyło się do dwóch i pół stuleci.

Przybycie Brytyjczyków z początku nie zmieniło radykalnie życia w Krainie Przylądkowej. Angielski gubernator szanował obyczaje i wyznanie mieszkańców. Jednakże z czasem zaczęli piętno swojej odmiennej kultury wyciskać Anglicy w wielu sprawach politycznych. Holenderscy osadnicy narzekali, że władze brytyjskie nie dbają o bezpieczeństwo kolonistów i nie organizują skutecznej ochrony przed napadami wojowników Xhosa.

Już przed końcem XVIII wieku doszło do pierwszego zetknięcia białych osadników z ludźmi plemienia Bantu, które przywędrowało z Północy. Jedni nieufni wobec drugich i wzajemnie, patrzyli na siebie przez rzekę Great Fish River (dzisiejsza nazwa angielska, wówczas prawdopodobnie po holendersku Groot Visrivier). Czarni przybysze byli pasterzami, gonili wielkie stada krów – kąsek łakomy dla osadników. Ale tak samo bydło Burów, czyli białych rolników-osadników, nie było do pogardzenia dla ludzi plemienia Bantu. Pierwszymi, z jakimi zetknęli się biali osadnicy, byli członkowie szczepu Xhosa. Byli oni tradycyjnie pasterzami, ale, jeśli trzeba, i wojownikami. Znacznie bardziej wojowniczy Zulusi zajmowali tereny położone dalej na północny wschód. Pod osłoną nocy zaczęły się w obydwu kierunkach napady w celu zdobycia bydła. Wojownicy Xhosa zakradali się po bydło, a przy okazji, jak ktoś się trafił, dzidami pomagali mu

zakończyć życie. Z czasem technologia napadów została podwyższona do innych poziomów. Zabijanie, podpalanie i branie jeńców było wzajemne. Ludzie biali nadali ludziom czarnym nazwę „Kaffir”. Znaczyło to tyle co „pogani”, ale wyrażone z pogardą. Nazwa ta przetrwała i za moich czasów była jeszcze w powszechnym użyciu. Słowo „Kaffir” było jeszcze bardziej obraźliwe w swojej treści i wymowie niż amerykańskie „Nigger”, używane przez Ku Klux Klan i innych rasistów. W latach 1818-1819 stoczono dwie większe wojny, które nawet w historii, jakiej uczono mnie w szkole, nazywały się oficjalnie „Kaffir wars”. Wojen takich do końca dziewiętnastego stulecia miało być razem dziewięć.

Jakkolwiek Burowie posiadający broń palną mieli przewagę techniczną nad dzidami, bez wsparcia brytyjskiego nie udało im się zapanować nad terenem. Zmagania wzajemne o tereny pasterskie i bydło trwały jeszcze wiele lat. Wbrew oskarżeniom Burów o brak ochrony, władze brytyjskie obsadziły tereny sporne tysiącami wojska, doprowadzając w końcu do totalnego pozbawienia ludzi Xhosa ich ziem i podporządkowania ich władzy kolonialnej. Historia ta żywo przypomina politykę kolonizacyjną Stanów Zjednoczonych w dziewiętnastym stuleciu i stopniowe odbieranie praw i ziemi rdzennym czerwonoskórym mieszkańcom.

W 1820 roku przyплыnęła potężna fala osadników z Anglii (tzw. 1820 settlers), która miała w krótkim czasie zmienić nie do poznania oblicze Kolonii Przylądkowej, jak już oficjalnie ją nazwano. Wówczas była to kolonia, ale Płd. Afryka moich czasów nie była już krajem kolonialnym, choć praktyki kolonialne były prawem i stosowane na porządku dziennym. Brytyjczycy zaprowadzili nowe przepisy prawne. Rozluźniono z czasem surowe nakazy praktyk kościelnych, wpuszczono, obok holenderskiego kościoła reformowanego, również i inne kościoły, jak anglikański, a nawet rzymskokatolicki. Ponadto ochroną objęto Buszmenów i Hotentotów w tym sensie, że już nie można ich było całkiem bezkarnie smagać biczami czy wieszać na życzenie białego pana. To się osadnikom bardzo nie spodobało, ponieważ niewolnicy uważani byli nie za ludzi, a za rzecz i własność. Sytuacja zaogniła się na dobre, kiedy w wyniku wysiłków angielskiego lorda i wizjonera tamtych czasów Williama Wilberforce’a, władze brytyjskie zniosły niewolnictwo w 1834 roku. Ten fakt oraz poczucie całkowitej erozji swoich „praw” przelały kielich goryczy i przyspieszyły decyzję ludności holendersko-niemiecko-francuskiej (ale mówiącej po holendersku i już w zasadzie jednolitej) o wyniesieniu się na północ, w poszukiwaniu nowej ojczyzny i możliwości swobodnego praktykowania swoich własnych obyczajów.

Rozpoczęła się największa epopeja w dziejach Płd. Afryki – The Great Trek. Pionierzy, którzy wyruszyli w wielkie nieznanne, nazywali się sami Voortrekkers po holendersku, czyli Wędrowcy do Przodu.

Biali Południowoafrykańscy mówiący po holendersku, czyli Afrykanerzy, jak się woleli sami nazywać, rozpoczęli swój pełen niebezpieczeństw marsz na północ. Można tu dopatrzeć się wielu podobieństw do pionierów prących na Zachód w Ameryce. Po pierwsze, choć to tylko czysto zewnętrzny atrybut, w podobnych wozach, pokrytych białym płótnem, chroniącym przed skwarem i deszczem. Pionierzy amerykańscy na swojej drodze napotykali plemiona indiańskie, które w obronie własnych terytoriów napadały na wozy pionierskie. Biali bezdusznie tępil Indian. Dla obrony własnej przywoływali kawalerię Stanów Zjednoczonych, która z kolei tych Indian dziesiątkowała. Czasami dochodziło do strasznych rzezi niewinnych ludzi z obydwu stron. Wiadomo, że Stany Zjednoczone złamały wszelkie porozumienia z Indianami, anektując kolejno ich ziemie i zabijając nawet spokojne plemiona, wraz z kobietami i dziećmi. Pionierzy południowoafrykańscy, czyli Voortrekkers, parli na północny wschód w poszukiwaniu ziemi, na której się osiedlą. Po drodze następowały podobne konfrontacje z plemionami Bantu, których teraz już pojawiła się znacznie większa ilość. Basuto i Xhosa były tradycyjnie plemionami pasterskimi i wojowały tylko, jeśli zostały zaatakowane. Natomiast Zulusi byli przede wszystkim wojownikami, wykazującymi się wielką odwagą i niebezpiecznymi, pomimo nieposiadania broni palnej. Walczyli dzidami, które zwali assegaai. Oni często w obronie swoich terytoriów atakowali pierwsi. Ich

rodzimy terytorium była ta część Płd. Afryki, która dziś stanowi prowincję Natal, ale zuluscy wojownicy docierali też znacznie dalej na zachód.

Po wielu trudach podróży i straceniu tysięcy ludzi, zarówno w potyczkach, jak i z chorób, Voortrekkers przekroczyli rzekę, którą nazwali Oranje na cześć orańskiego króla Holandii, i osiedlili się tam, tworząc swoją pierwszą republikę Wolny Stan Oranje (Oranje Vrystaat) ze stolicą w Bloemfontein. Ponieważ przeważająca większość Afrykanerów to byli farmerzy, a farmer po holendersku jest „boer”, Anglicy o nich mówili „Boers” (po polsku Burowie). Nazwa ta weszła do historii. Część Burów zawędrowała jeszcze dalej na północ pod wodzą swego lidera – Andiesa Pretoriusa. Doszli do rzeki, która miała bardzo mętną wodę, i nazwali ją Vaal (po holendersku – szara, mętna). Po przekroczeniu tejże rzeki, krainę na północ od niej nazwali Transvaal i tam założyli drugą republikę burską o takiej właśnie nazwie. A stolicę – dla uczczenia wodza – nazwano Pretoria. Tu mała dygresja. Język holenderski był nadal językiem urzędowym w obydwu republikach, ale język mówiony już znacznie odbiegał od pierwowzoru. Doszły naleciałości z języka niemieckiego, zakorzeniły się niektóre słowa hotentockie, a nawet z narzeczy plemion Bantu i z angielskiego. Potocznie język swój Burowie nazywali afrikaans. Zanim nastąpił Wielki Trek, już zdążyli się niektórzy z nich pożenić z Angielkami, które lojalnie towarzyszyły swoim mężom w trudach wędrówki na północ, jednocześnie wywierając swój wpływ językowy.

Republiki burskie z początku kwitły, a pracowitość i przedsiębiorczość ludzka w krótkim czasie doprowadziły do rozbudowania szeregu miast, ustanowienia szkół, infrastruktury państwa, na tamte czasy nowoczesnego. Granice musiały jednak być strzeżone na wypadek ataku ze strony Zulusów. Plemiona czarne właściwie nie żyły w granicach tych republik, czasem indywidualni ludzie tam zawędrowali i najmowali się jako siła fizyczna do pracy. Oczywiście, nie uznawani byli nigdy za obywateli.

Tymczasem Anglicy rozpoczęli silną ekspansję na wschód. Założyli nową prowincję Natal z miastem portowym Durban i staczali walki z wojownikami zuluskimi. Zulusi byli w tym czasie dowodzeni przez okrutnego i brutalnego króla Dingaana, który został ich królem po zamordowaniu swojego brata Czaki. Czaka był też okrutny, czerpał radość ze słuchania jęków ludzi (własnych) zrzucanych ze skały do wody w oceanie pełnym rekinów. Dingaan, z którym angielskie władze musiały się liczyć, zaprosił białych na rokowania, ale kiedy przybyli i usiedli, wykrzyknął do swoich wojowników, by „zabić białych czarowników”. Miało to miejsce 16 grudnia 1838 roku. Dingaan w końcu uciekł tam, gdzie obecnie jest Swaziland (dziś Eswatini), i sam zginął zamordowany przez kogoś innego z rodziny. Coś podobnie jak na dworze carskim. Tak więc stosunki władz angielskich z Zulusami dalekie były od dobrych i dochodziło do wielu bitew, w których obydwie strony wykazywały się niesłychaną odwagą. Jedną z najsłynniejszych bitew stoczyli Anglicy 22 stycznia 1879 r. w Rorke's Drift. W całej historii oręża brytyjskiego nigdy nie przyznano tytułu najwyższych odznaczeń Victoria Cross jak właśnie po tej bitwie. Anglicy ze swoją przewagą technologiczną doprowadzili w końcu do opanowania całego terytorium. Do republik burskich nie wtrącali się i przez szereg lat nawet się nimi nie interesowali. Do czasu.

W 1877 roku brytyjski gubernator Shepstone zaanektował Transvaal w imieniu korony brytyjskiej. Burowie odpowiedzieli buntem, który przeszedł do historii jako Pierwsza Wojna Burska. Była to pierwsza w nowoczesnej historii wojna partyzancka. Żołnierze JKM ginęli jak kaczki. Burowie, ubrani w drelichy i zieleni wtapiającą się w krajobraz, strzelali do Anglików, ubranych jeszcze w swe tradycyjne jaskrawoczerwone mundury, kontrastujące ze wszystkim, czego można się spodziewać w Afryce. I nie pomogła olbrzymia przewaga techniczna ani ekonomiczna potęgi brytyjskiej. W 1881 Wielka Brytania, po strasznej klęsce militarnej w bitwie na wzgórzu Majuba (na granicy pomiędzy Transvaalem i Natalem) zmuszona była zgodzić się na autonomię republiki burskiej. W protokole umowy pokojowej znalazła się jednak klauzula o nadzorze brytyjskim, ale nadzór ten pozostał czysto teoretyczny.

W niedługim czasie po tym nastąpił przypadek zmieniający bieg historii. W roku 1886 wędrowny Australijczyk, George Harrison, natknął się na złoto osadzone na stokach Grzbietu Białej

Wody (Witwatersrand) w pobliżu małej wioski o nazwie Johannesburg. George Harrison nie wiedział jeszcze, że stoi na najbogatszej żyłce złota na świecie.

Wędrowny żydowski kupiec doniósł o tym wydarzeniu Anglikom (ci Żydzi zawsze musieli namieszać!) i natychmiast rozpoczęła się gorączka złota. Do Transwału z dnia na dzień zjechały tysiące ludzi z całego świata w pogoni za szybkim wzbogaceniem się. Z małej, nikomu nieznanego wioski, Johannesburg stał się miastem, naprędce budowanym, dlatego niezbyt pięknym i z wąskimi ulicami. Kopalnie złota rozrastały się, prosperowały i Transvaal stawał się sławny na świecie. Jakkolwiek językiem oficjalnie używanym był holenderski, ulice i place przed kopalniami rozbrzmiewały teraz wieloma językami, ale głównie angielskim. Wkrótce liczba przybyszów przekroczyła liczbę Burów – mieszkańców republiki. Cudzoziemcy – uitlanders, jak ich nazywano – nie byli, rzecz jasna, mile widziani. Wybiegam w tej chwili myślą naprzód do czasów znacznie późniejszych. We Francji – przybysze arabscy z północnej Afryki, w Anglii od czasu II wojny światowej – napływ imigrantów z Pakistanu i Afryki. Dziś do Polski ściągają Ukraińcy, Białorusini oraz dobijają się do Europy uchodźcy z Syrii. Nastroje niechęci towarzyszące wszystkim tym przypadkom napływu obcej ludności nie są niczym nowym na tej ziemi. Nie wszystkie kraje są takie jak Kanada, w której mieszkam. W otoczeniu kopalń otaczających Johannesburg szybko doszło do społecznych napięć i byle pretekst dobry był do stawiania oficjalnych żądań. Anglia domagała się równych praw dla swoich obywateli – stałych mieszkańców Transwaalu.

Trudno byłoby sobie wyobrazić, że Anglicy nie zainteresują się takim kąskiem jak żyła złota. Długo nie trzeba było czekać. Zaproponowali władzom republiki, że królowa Wiktoria przyjmie ich pod swój protektorat i ochroni przed ewentualnymi napadami ze strony Zulusów. Przywódcy burscy odpowiedzieli wyraźnie i niedwuznacznie: „Nie!”. Ale Anglicy chcieli ich koniecznie uszczęśliwić na siłę. Ściągnęli duże posiłki wojska ze swoich innych kolonii i z kraju rodzinnego i po prostu napadli na Burów. Oczywiście, dla ich dobra. W 1899 roku wybuchła Druga Wojna Burska. Była to zarazem pierwsza wojna, w której uczestniczył korpus ekspedycyjny z Kanady. Walczyły w niej także oddziały z innych kolonii, jak Australia.

W wojnie tej Anglicy zaczęli nosić mundury koloru khaki i mieli już znaczną przewagę. Burowie stworzyli armię pospolitego ruszenia. Oczy całego świata skierowane były na Południową Afrykę, a sympatie większości były po stronie Burów, broniących swej niepodległości. Niezwykłą popularnością w ówczesnym świecie cieszył się prezydent Transwaalu Paul Kruger. To od niego bierze nazwę złota moneta Krugerrand. W tym czasie po raz pierwszy świat usłyszał o młodziutkim, utalentowanym korespondencie wojennym, donoszącym z Południowej Afryki. Nazywał się Winston Spencer Churchill. A młodziutki (43 lata) angielski generał Robert Baden-Powell, bohater w oblężonym przez 217 dni mieście Mafeking, wysyłał młodych chłopców na trudne i odpowiedzialne misje, tym samym dając początek ruchowi międzynarodowego skautingu, którego jest założycielem.

Piszę o tym wszystkim, żeby pokazać, że historia tego kraju nie jest wyłącznie historią zmagania się białych ludzi z czarnymi ani też wyłącznie historią ucisku rasowego. Jest ona, jak widać, znacznie bardziej bogata i wielowątkowa.

Nie mogąc wyciągnąć partyzantów z buszu i zmusić do otwartej walki wzdłuż jakiejś linii frontu, Anglicy aresztowali masowo ludność cywilną jako „kolaborantów”, zabierając przy okazji wszelkie zapasy żywności i inne potrzebne do życia dobra materialne. Anglicy jako pierwsi wprowadzili nowy wynalazek nowoczesnej wojny – obozy koncentracyjne dla ludności cywilnej. Oczywiście, nie można ich w żaden sposób porównywać do hitlerowskich obozów zagłady, niemniej ludność cywilna ucierpiała bardzo. Przewaga brytyjska tym razem była już na tyle miażdżąca, że po trzech latach wojowania przywódcy Burów zrozumieli, iż dalszy opór niczego nie wskóra, a ucierpi na tym tylko ludność cywilna, i tak już dość udręczona. Ostatnie niedobitki wojsk burskich poddają się i wojna kończy się 31 maja 1902 roku podpisaniem traktatu pokojowego Vereeniging. Vereeniging oznacza w języku afrikaans „zjednoczenie” i w miejscu podpisania traktatu stanęło miasto o tej samej nazwie, nad leniwymi wodami rzeki Vaal.

W myśl porozumienia prowincja Natal oraz republiki burskie Transvaal i Wolny Stan Oranje miały się zjednoczyć jako prowincje z Krainą Przylądkową w dominium brytyjskie, z dużym zakresem autonomii. Wszyscy mieszkańcy mieli mieć równy status obywatelski. Mowa tu, oczywiście, wyłącznie o ludności białej, ponieważ ludność czarna uważana była jeszcze za dzikusów i w ogóle niebrana pod uwagę.

W 1910 roku, w ósmą rocznicę zakończenia wojny, powstała Unia Południowej Afryki, niezależne państwo członkowskie Brytyjskiego Imperium. Jej pierwszym premierem został Louis Botha, niedawno jeszcze burski generał. Unia stała się ojczyzną zarówno Burów pochodzenia holendersko-francusko-niemieckiego, jak i anglojęzycznych mieszkańców południowej Afryki. Miała dwie flagi – Union Jack (znana wszystkim flaga brytyjska) oraz flagę złożoną z miniaturowych flag poszczególnych prowincji na białym polu pomiędzy pomarańczowym a granatowym pasem. Urzędowymi językami były angielski i holenderski. W kilkanaście lat później język afrikaans uznany został za oficjalny i od tej pory na znaczkach, obok „South Africa”, widniał napis „Suid Afrika” (dawniej po holendersku „Zuid Afrika”). Unia walczyła po stronie Ententy w pierwszej wojnie światowej przeciwko imperium niemieckiemu. Gdy w 1939 roku wybuchła II wojna światowa, premier Jan Smuts (też były burski generał) był jednym z pierwszych chętnych do przystąpienia do wojny przeciwko Hitlerowi. Żołnierze południowoafrykańscy okryli się chwałą w bitwie pod El Alamein.

Czarni mieszkańcy Unii nie mieli praw obywatelskich, ale nie była to jakaś kwestia specjalnej doktryny. Po prostu nie uważano czarnych ludzi za dojrzałych do obywatelstwa, ale taka była kolonialna mentalność na wszystkich terytoriach zamorskich, łącznie z perłą w koronie brytyjskiej – Indiami. Przytłaczająca większość plemion żyła jeszcze w swoich wioskach, kierowała się prymitywnymi prawami plemiennymi i była niepiśmienna. Ich życie przebiegało obok życia białych, ale nie wspólnie. Z czasem ekonomia zmusiła czarnych mieszkańców wiosek do szukania pracy wśród białych. Dostawali ją, ale jasne, że tę najniżej kwalifikowaną, czyli służących.

Znamienne jest, że w rodzinach burskich były nianie i służące czarne bardzo zżyte z rodzinami, u których służyły, i te nianie cierpiały razem z tymi rodzinami podczas wojny z Anglikami. Sytuacja dokładnie taka, jaka znana jest z *Przeminęło z wiatrem* w Atlantycie w latach sześćdziesiątych XIX wieku. A przecież ludność biała południowych stanów walczyła przeciwko zniesieniu niewolnictwa. W rodzinach burskich takie nianie były zżyte, kochane, ale nie na tyle, by jeść przy wspólnym stole. I tak było to obustronnie akceptowane przez wiele pokoleń.

Dopiero podczas ostatniej wojny nastąpił w Unii duży napływ ludzi różnych szczepów Bantu do miast. W czasie wojny wielu potomków Burów, czyli Afrykanerów nie ukrywało swoich sympatii dla Hitlera, podobnie jak Quebecois w Kanadzie. Przyświecała zasada, że wróg naszego niedawnego wroga jest naszym przyjacielem. Jednakże nie można tego bynajmniej powiedzieć o wszystkich.

Po II wojnie światowej wybory po raz pierwszy wygrała partia nacjonalistyczna, dowodzona przez pastora Daniela François Malana. To ta partia podniosła doktrynę separacji rasowej i supremacji białych do „godności” polityki narodowej. Do takiego kraju przyjechałem ja.

Opisałem z początku swoje pierwsze wrażenia i kilka refleksji, jakie miałem na temat sytuacji rasowej w Południowej Afryce. Następnie przedstawiłem krótki rys historyczny tego kraju, żeby dać perspektywę tych procesów społecznych, jakie kształtowały postawy jego mieszkańców, zarówno białych, jak i innych ras. Mieszkalem tam przez 10 lat i różne doświadczenia wzbogacały moją świadomość tego, co się wokół dzieje, a proces dorastania, w tym naturalnego rozwoju umysłowego od dziecka do dorosłego, pozwalał to lepiej zrozumieć.

Aby obraz tego, co obserwowałem, był pełniejszy, podaję w przybliżeniu skład etniczny tego kraju, jaki istniał w czasie, gdy ja tam mieszkalem, czyli w latach pięćdziesiątych ubiegłego stulecia. Białych ludzi pochodzenia europejskiego było blisko 6 milionów, co stanowiło około 25% całej ludności. Z kolei ci dzielili się na Afrykanerów, wywodzących się z Holendrów, Niemców i Francuzów (60% ludności białej), i ludzi anglojęzycznych (pozostałe 40%). Do tej ostatniej

podgrupy należy zaliczyć, oprócz Anglosasów, również wszystkich imigrantów, których przybywało sporo, zwłaszcza po II wojnie światowej. Najlicniejszą grupę ludnościową w całym kraju stanowili rdzenni Afrykanie z różnych plemion i posługujący się różnymi językami, a następnie ludzie mieszanej krwi i rasy, których przodkami byli Hotentoci. Do całości należy jeszcze wymienić mniejszości, obejmujące Hindusów i Chińczyków. Dwie ostatnie grupy sprowadzone zostały przed laty jako kulisi i inna tania siła fizyczna. Zostali na miejscu, a po nich ich potomkowie. Wiadomo, że dla Anglików ludzie z kolonii nie byli równouprawnieni z kolonistami, a więc Azjaci też nie mieli równego z białymi statusu ani normalnych praw obywatelskich, czy to w Indiach, czy w Chinach. Przypomnijmy, że na początku XX wieku Anglia też utrzymywała swoje wojska w Chinach i pomagała w dławieniu tzw. rewolucji bokserów. Tak więc ludzie ci po sprowadzeniu do Południowej Afryki, aczkolwiek traktowani nieco lepiej od rdzennych nacji afrykańskich, niemniej nie dostąpili „zaszczytu” życia na równi z białymi panami. Trzeba jednak wyjaśnić, że podobna sytuacja panowała i w innych krajach kolonialnych czy postkolonialnych (Unia Południowej Afryki już kolonią w tym czasie formalnie nie była) reszty świata. Ludzie czarni nie mieli nic do powiedzenia we własnych sprawach, niezależnie od tego, czy byli rządzani przez Anglików, Niemców (do I wojny światowej imperium niemieckie miało swoje kolonie w Afryce), Francuzów czy Belgów. Portugalia uznawała Angolę i Mozambik za „zamorskie terytoria” i dawała rdzennym tubylcom przynajmniej teoretycznie status obywatelski. Tym niemniej, status społeczny wyznaczony był przez stan majątkowy, co powodowało, że w koloniach portugalskich żyli też obywatele równi i równiejsi, a obywatele o czarnej skórze należeli, naturalnie, do tych równych. Podobnie było w innych krajach kolonialnych, jakkolwiek polityka taka nie była podniesiona do „godności” jakiejś ideologii czy specjalnego kodeksu praw. Po prostu lokalna ludność była traktowana przez władze kolonialne jak bydło, bez jakichś szczególnych nakazów czy zakazów, które by to traktowanie ujmowały w ramy formalne. Były wyjątki, oczywiście. W Indiach bogatych radźów współpracujących z koroną brytyjską traktowano z „należnym bogaczom” szacunkiem. Takie były czasy i wydawało się na całym świecie, że taki ma być naturalny porządek rzeczy. W Stanach Zjednoczonych status ludzi pochodzenia afrykańskiego różnił się w zależności od stanu. Na osławionym Południu wciąż obowiązywała segregacja i Ku Klux Klan miał wtyczki we wszystkich stanowych władzach, a ucisk rasowy był wszechobecny.

Jedynym krajem, w którym segregacja rasowa urosła do ideologii obowiązującej zarówno białych, jak i inne rasy, z prawami obwarowanymi surowymi karami, była Unia Południowej Afryki. Stało się tak po dojściu do władzy partii nacjonalistycznej pod wodzą pastora Daniela François Malana w 1948 roku.

W początkach istnienia tego państwa rdzenna ludność była prawie w ogóle niewykształcona, żyła w prymitywnych wioskach, była nawet całkiem nieświadoma swojej nierówności politycznej. Rządziła się w tych wioskach według własnych obyczajów plemiennych. W miarę zajmowania przez białych coraz większych połaci ziemi, stanowiącej pastwiska dla bydła ludności czarnej, ludność ta zmuszona była migrować do miast w poszukiwaniu zarobku. Zostawali służącymi i robotnikami fizycznymi. Inne stanowiska dla nich nie istniały. Dopiero wraz z bardziej liczną migracją czarnej ludności do miast w poszukiwaniu pracy i z początkiem edukacji zaczęła u niej kiełkować świadomość, że coś jest w tym układzie społecznym nie tak, jak powinno. Zaczęli ludzie ci dostrzegać monstrualne dysproporcje bogactwa i poziomu życia, widzieć samochody i domy białych oraz komfort ich życia. Ale zaczęli też doceniać przedsiębiorczość białego człowieka, który te domy budował, fabryki rozwijał, szkoły zakładał i potrafił robić tysiące rzeczy, których oni sami jeszcze nie potrafili. Nie potrafili, bo nie mieli edukacji. Tymczasem, biały człowiek wzbogacał się coraz bardziej kosztem ciężkiej, praktycznie niewolniczej pracy człowieka czarnego.

Trzeba tu przyznać, że istniały fundacje charytatywne, często związane z organizacjami religijnymi, które prowadziły szkoły dla pragnących się kształcić ludzi należących do plemion Bantu. W jednej z nich nauki pobierał młodziutki idealista Nelson Mandela, późniejszy pierwszy prezydent Republiki Południowej Afryki, człowiek, który swoim życiem zainspirował wielu.

Kiedy w niedługim czasie po przybyciu do Johannesburga trafiłem do szkoły, z początku nawet nie zastanawiałem się nad faktem, że wraz ze mną chodzą wyłącznie dzieci białe. Wszystkie czyściutkie, zadbane, w przepisowych mundurkach. Przeważnie rodzice przywozili swoje pociechy samochodami do szkoły, co było całkiem inaczej niż w Polsce. Nauczycielki i nauczyciele też byli biali. Nie byli to z gruntu źli ludzie. Wychowani od dziecka w tym, że biały jest panem, a czarny służącym, nie zastanawiali się nad kwestiami społecznymi ani nad etyczną stroną polityki rasowej, a pojęcie równości społecznej u nich jeszcze nawet nie zaczęło kiełkować. Były to początki rządów partii nacjonalistycznej, a więc też początki apartheidu doktrynalnego. Po prostu, rozdział białych i reszty społeczeństwa był bez głębszego zastanawiania się akceptowany jako coś naturalnego i niekwestionowany. Natomiast już wkrótce zauważyłem coś, co można by nazwać „solidarnością białego człowieka”, polegającą na daleko idącej tolerancji etnicznej i wyznaniowej, ale ograniczonej wyłącznie do białych ludzi. Biała Południowa Afryka nie była już w tym czasie monolitem etycznym, językowym ani wyznaniowym. Afrykanerzy mówili językiem afrikaans, wszyscy pozostali – po angielsku. Przybysze z innych krajów i ich potomkowie też posługiwali się angielskim. Afrykanerzy należeli do tzw. holenderskiego kościoła reformowanego (Nederduitse Gereformeerde Kerk). Anglojęzyczni biali dzielili się na członków kościoła anglikańskiego, katolickiego i różnych kościołów tzw. niekonformistycznych chrześcijańskich, m.in. metodystów, baptystów, adwentystów dnia siódmego itd., a także była niemała grupa ludzi wyznania mojżeszowego. Z punktu widzenia etnicznego do grupy anglojęzycznej dołączyły, zwłaszcza po wojnie, grupy imigrantów z wielu krajów europejskich. Nie czuło się jakichkolwiek antagonizmów pomiędzy białymi ludźmi różnych wyznań. Można było wybrać swoim dzieciom szkołę anglojęzyczną bądź z językiem afrikaans. Nie było jakiegokolwiek nacisku na język afrikaans i praktycznie wszyscy imigranci kształcili swe dzieci w szkołach angielskich. Obydwa języki traktowane były na równi. W szkołach anglojęzycznych od najmłodszych lat uczono afrikaans jako języka drugiego i odwrotnie. Raz na tydzień mieliśmy apel całej szkoły. Kiedy zbliżały się jakieś święta żydowskie, kierownik zwracał się do nas, mówiąc: „A teraz niech wszystkie dzieci nieżydowskie wstaną i złożą swoim żydowskim koleżankom i kolegom życzenia szczęśliwych świąt”. Po szkole dzieci z różnych domów miały odmienne zajęcia, czasami związane z tradycjami religijnymi, narodowymi itd., natomiast w szkole bawiły się wszystkie razem i nie czuło się różnic między dziećmi z domów o odmiennych wyznaniach. Ja chodziłem na zbiórki harcerskie (skautowskie) w drużynie przy YMCA. Czasem spotykałem na ulicy kolegów szkolnych w odmiennych mundurach harcerstwa żydowskiego. Na terenie szkoły nie odczuwało się



Autor w mundurku szkolnym Parktown Boys' High School

jakichkolwiek animozji pomiędzy dziećmi z domów o odmiennych tradycjach. Czuło się natomiast zawsze pewną niechęć anglojęzycznych do Afrykanerów i odwrotnie. Jak już wspominałem, w szkołach z językiem wykładowym angielskim uczono afrikaans jako drugiego języka, ale ten był zawsze traktowany przez uczniów z pewną szczyptą pogardy. Panie z eleganckich domów czasem pozwalały sobie na wyrażenie się o języku afrikaans jako „kitchen Dutch”. Języków narodów Bantu (najpopularniejsze to zuluski i basuto) nie uczono w żadnej białej szkole.

W szkole średniej Parktown Boys' High School, do której chodziłem, oprócz innych klubów zainteresowań funkcjonowały kluby uczniów chrześcijańskich i uczniów żydowskich. Na codziennych apelach szkolnych przed zajęciami przedstawiciele klubów występowali ze swoimi ogłoszeniami dla zainteresowanych. Raz klub żydowski

zaprosił wszystkich, którzy chcą, na przyjęcie podczas długiej przerwy w celu wysłuchania nagrania o zagładzie getta warszawskiego. Pamiętam, że przyszło wielu kolegów nie-Żydów. W tej samej szkole co roku w dniu 11 listopada – rocznicy zakończenia I wojny światowej, obchodzonym w wielu krajach zachodnich jako dzień weterana, odbywały się uroczyste apele poległych. Każdego roku prowadził je duchowny innego wyznania. Raz był ksiądz katolicki, raz rabin, innym razem pastor anglikański. Duchowny modlił się według swojego obrządku, cała szkoła uczestniczyła wspólnie, a każdy po cichu modlił się po swojemu. Biali ludzie między sobą nie mieli, a przynajmniej nigdy nie okazywali uprzedzeń do innych wyznań. W ogóle wyznanie nigdy nie było przedmiotem zainteresowania sąsiadów.

Apartheid, czyli „oddzielność”, oznaczał oddzielne szkoły, parki i ławki w parku, oddzielne autobusy, tramwaje, przystanki, pociągi, perony, oddzielne kina, urzędy, oddzielny sport i wszystkie obiekty sportowe. Nie mieli też nie-biali wstępu do eleganckich domów towarowych dla białych. Ludzie czarni musieli nosić specjalne pozwolenia na przebywanie w dzielnicach dla białych i okazywać na każde żądanie policji. Na każdym kroku spotkać można było znaki zabraniające korzystania z ławki, nawet trawników w parkach ludziom innym niż „Europejczycy”, jak nazywano białych.

Kiedy w ostatnim roku przed powrotem do Polski pracowałem jako technik w instytucie przy kopalniach złota, złapałem trochę „Fanagalo”. Fanagalo to zlepek różnych języków Bantu, z domieszkami angielskiego i afrikaans, żargon, którym na kopalni porozumiewali się między sobą ludzie z różnych szczepów. Przy okazji tej pracy zobaczyłem, jak niewolniczo traktowani byli czarni robotnicy kopalni. Wszyscy nosili na nadgarstku plastikowe obrączki z numerem ewidencyjnym, których zdjęć nie było można. Mieszkali w koszmarnych warunkach w pomieszczeniach niewiele lepszych od cel więziennych, na terenie zamkniętym, zwanym „compound”, z którego mogli tylko wyjść do pracy i wrócić po niej. Ze mną



W laboratorium fizjologii stosowanej w Johannesburgu, 1958.

Autor i współpracownicy

pracowała grupa czarnych wykształconych techników, którzy nie byli pracownikami kopalni, tylko instytutu i pełnili role tłumaczy i laborantów. Nie wolno im jednak było korzystać z tej samej stołówki, bo tego zabroniło „prawo”. W instytucie pracowali też niektórzy ludzie biali otwarci, bez uprzedzeń i jeden Afrykanin (nie mylić z Afrykanerem!) z doktoratem. Ale nikt nie odważył się narażać.

Wśród Polaków też słyszałem często wyrażany pogląd na temat ludzi czarnoskórych, że „oni jeszcze z drzew nie poschodzili” i nie wolno dawać im żadnych praw, bo wówczas na środku Rissik Street (główna ulica Johannesburga) za kilka miesięcy roślaby trawa. Jest rzeczą oczywistą, że przy katastrofalnym stanie edukacji, ludzi czarnych zdolnych do jakiegokolwiek pracy twórczej czy organizacyjnej można wówczas było policzyć na palcach. Natomiast trudno nie zgodzić się z twierdzeniem, że tak jak w Polsce i gdzie indziej wśród ludzi niewykształconych najczęściej

zdarzają się zachowania mało akceptowalne, a nawet odrażające dla społeczeństwa wykształconego, tak samo było wśród ludności czarnej. Jak zwykle, funkcjonowały stereotypy i w oczach większości białych ludzi wszyscy czarni postrzegani byli jako dzicy, niecywilizowani, zacofani. Nie dostrzegano, jakoś, związku tego stanu z ich sytuacją społeczno-ekonomiczną, a symplicystycznie przypisywano go wrodzonym cechom ich rasy. Ci sprawujący władzę z kolei, którzy zdawali sobie sprawę z prawdziwego stanu rzeczy, celowo utrzymywali edukację czarnego człowieka na niskim poziomie i utrudniali mu, jak mogli, dostęp do nauki, bo jako niewykształcona, tania, wręcz niewolnicza siła robocza, stanowił dla państwa białych niebagatelną wartość.

W pierwszej połowie lat pięćdziesiątych głośna była sprawa pewnego młodego, utalentowanego czarnego Południowoafrykańczyka, któremu rząd amerykański przyznał stypendium na kształcenie się w jednej z liberalnych instytucji w USA. Chłopaka nie wypuszczono z kraju. Pamiętam, jak moja nauczycielka mówiła wówczas w klasie, że bardzo słusznie, bo „Kaffir, to tylko Kaffir, wróci tu wykształcony i będzie chciał być ważny”.

Ludzie czarni nie mieli prawa mieszkać w dzielnicach białych z wyjątkiem służących, w przybudówkach do domów białych państwa bądź sprzątaczy mieszkań w blokach mieszkaniowych. Ci mieli swoje pomieszczenia jednoizbowe na dachach bloków, zwykle bez okien. Wszyscy ludzie ciemnoskórzy mieli obowiązek nosić zawsze przy sobie książeczkę-przepustkę, którą w każdej chwili musieli okazać policjantowi na wezwanie. Ci, którzy pracowali nie jako służący, mieszkali w tzw. shanty-towns, czyli miastach rudery, które można tylko przyrównać do faweli brazylijskich. Były to rudery sklecone z blachy falistej, maleńkie, biedą podszyte. Biały człowiek też nie miał do nich wstępu bez zezwolenia policji. Stosunki płciowe międzyrasowe były surowo zakazane poprzez tzw. Immorality Act (Ustawa o niemoralności). Nielegalne było też zawieranie małżeństw mieszanych. Rząd nacjonalistyczny tłumaczył, że dla dobra obydwu części ludności wprowadza się jako coś naturalnego osobny rozwój kulturowy i społeczny.

Kościół reformowany też pomagał w tworzeniu teorii oddzielnego rozwoju. Tłumaczył on ustęp w Biblii, w którym Noe upił się, a jego syn Cham drwił z ojca. I rzekł mu Pan Bóg: „Będziesz służył swoim braciom, a twoje potomstwo będzie służyć potomstwu braci twoich”. Kościół reformowany utrzymywał, że ludzie czarni są potomkami Chamitów, a więc wszystko odbywa się według życzenia boskiego. Kiedy o tym wspominam dziś, trudno mi oprzeć się refleksji, że religia niejednego wyznania daje się wspaniale wykorzystać przez cynicznych spryciarzy do „uzasadnienia” polityki.

Nie potrafię powiedzieć, jakie były oficjalne przepisy prawne dotyczące udziału w kościelnych nabożeństwach. W kościołach katolickich widziałem czasem kilkoro osób czarnych, które brały udział w mszy. Nikt ich stamtąd nie wyganiał. Na ogół jednak ludzie czarni mieli swoje kościoły. Popularny dziennik „The Star” kiedyś wydrukował polityczny kawał. Policjant wchodzi do kościoła reformowanego i widzi tam czarnego mężczyznę. Ruga go, wyzywa i żąda odpowiedzi, jakim prawem ten znalazł się w kościele dla białych. Biedny człowiek zaczyna tłumaczyć się, że on tu służy pastorowi, sprząta i myje podłogę. Policjant w końcu puszcza go. Ale dodaje: „Ale niech cię tylko złapię, że się tu modlisz, to popamiętasz”. W Cape Town przed katedrą anglikańską widziałem wyzywający wobec władz napis głoszący, że kościół ten jest otwarty dla wszystkich ludzi wszystkich ras o każdej porze.

Hindusi traktowani byli nieco lepiej, ponieważ mieli prawo utrzymywać drobne zakłady usługowe w białej części miasta. Wielu było Hindusów krawców. Prowadzić zakład to jedno, ale mieszkać w białej dzielnicy było już niemożliwe, jak również niemożliwe było korzystanie z tych samych pojazdów publicznych, lokali gastronomicznych, szkół itp. Chińczycy byli jeszcze inną grupą społeczną. Też prawa głosu nie mieli ani nie wolno im było mieszkać w białych dzielnicach. Nie chodzili też do tych samych szkół. Mieli swoje. Ale... był jeden wyjątek. Wśród wielu szkół średnich w Johannesburgu była jedna prywatna męska szkoła katolicka braci Marianów – Marist Brothers, która przyjmowała Chińczyków. Nosili oni mundury szkolne i brali udział w lekcjach na równi z kolegami białymi.

Nie muszę dodawać, że w szkole tej nie byli jednak dopuszczani do żadnych sportów ani wspólnych stadionów, basenów, bieżni, itp., ponieważ „prawo” tego zabraniało. Znam przypadek wyproszenia studenta – Chińczyka z restauracji podczas wspólnego oblewania dyplomów.

Większości ludzi, z którymi miałem do czynienia, wydawało się to wszystko całkiem naturalne i nie widzieli oni niesprawiedliwości wokół siebie.

Kiedyś, pamiętam, bawiłem się w pewnym majątku, do którego pojechaliśmy na ferie, z dwoma chłopcami, którzy mieli nieco ciemniejszy odcień skóry, jakkolwiek uchodzili tam za białych. Jednego dnia znajoma powiedziała mojej matce, żeby mi zwróciła uwagę, żebym się z nimi nie bawił, bo ludzie szepczą, że to chyba „kolorowi”. Ja nie usłuchałem, bo już wówczas nie przemawiały do mnie argumenty rasistowskie. Ale jeden z tych chłopców, prawdopodobnie wyczuwając, że nie jestem rasistą, zagadnął mnie razu jednego, mówiąc dość oględnie, że przecież kolorowi „to też ludzie i jemu nie przeszkadzają”. Był nieostrożny, bo mógł trafić na kogoś innego. Oczywiście, przytaknąłem mu zgodnie z przekonaniem, ale nie zapytałem o niego samego. Innym razem, kiedy już byłem na uniwersytecie, kolega (Polak) wziął mnie na stronę i zaczął klarować, że ludzie widzą, iż ja się zadaję z czarnymi i już o mnie mówią „kafferboetie”.

To słowo z języka afrikaans wymawiane „kaferbuti” oznacza tyle co „braciszek czarnucha” – pogardliwa nazwa dla liberałów nieuznających rasizmu. A chodziło o to, że Uniwersytet Witwatersrand w Johannesburgu już wówczas przyjmował wszystkich – bez względu na rasę – na studia i na wykładach siedzieli wszyscy razem, co władze łaskawie tolerowały z uwagi na autonomię uczelni. Jedni biali integrowali się chętnie, inni, wśród nich niektórzy Polacy, pozostawali wyniośle „ponad”. Akademiki i urzędnicy sportowe były oddzielne, bo „prawo” inaczej nie pozwalało. W tym czasie rząd ogłosił zamiar stworzenia osobnych uniwersytetów dla każdego plemienia i zabrania czarnych studentów z tego uniwersytetu. Nastąpiła seria demonstracji ulicznych przeciwko temu, w których ja brałem udział. Zobaczyła mnie w jednej z tych demonstracji z okna przejeżdżającego autobusu moja była ukochana nauczycielka, która przyjaźniła się z moją matką i ze mną przez wiele lat. Przy najbliższej okazji obręgała mnie, że tak nie postępuje Południowoafrykańczyk. Tak skończyła się nasza przyjaźń, a nawet znajomość.

Znałem też Polaków całkiem innych, otwartych, pozbawionych jakichkolwiek uprzedzeń. Znana mi w Johannesburgu wówczas młoda dziewczyna, córka polskiego profesora, wrażliwa na ludzki los, brała udział w demonstracjach przeciwko apartheidowi. Irena była o kilka lat ode mnie starsza, wielka idealistka, tłumaczyła mi wówczas całe zło nierówności społecznej. W kilka lat po powrocie do Polski zginęła w wypadku.

Czarni ludzie ze swojego miasteczka ruder zwanego Alexandra Township dojeżdżali do pracy do białego miasta specjalnymi autobusami linii PUTCO (Public Utility Transport Corporation). Kiedyś PUTCO podniosło ceny biletów i ludność czarna odpowiedziała bojkotem, który trwał przez szereg tygodni. Rzesze ludzi szły kilkanaście kilometrów w jedną stronę i ten sam dystans pokonywali z powrotem. Autobusy stały puste. W tym czasie już wielu bardziej świadomych białych pomagało, podwożąc maszerujących swoimi samochodami. Ja w tym czasie miałem motocykl i raz akurat jechałem z uniwersytetu tą trasą. Zaproponowałem młodej czarnej studentce,



żeby wskoczyła na siodełko za mną i podwiozłem prawie na miejsce. Prawie, bowiem dalej już nie wolno mi było. Z uwagi na rosnące w tym czasie poparcie społeczeństwa białego dla bojkotujących, policja nie interweniowała, kiedy pomagało się pieszym.

Moja matka uczyła łaciny prywatnie i kiedyś zgłosił się do niej pewien młody, elegancki i wykształcony człowiek o ciemnej karnacji. Zaczął przychodzić na lekcje do naszego mieszkania. Mieszkaliśmy w pensjonacie i widać było, kto wchodzi. Po jakimś czasie właścicielka grzecznie, ale stanowczo powiedziała mojej mamie, że nie życzy sobie wizyt tego człowieka.

Po raz pierwszy sumieniami białych wstrząsnęła książka znanego wówczas autora Alana Patona *Cry the beloved country* (Płacz, ukochany kraju), przetłumaczona na wiele języków, a traktująca o stosunkach społecznych w warunkach apartheidu. Książka została sfilmowana, a jedną z głównych ról zagrał młodziutki wschodzący gwiazdor hollywoodzki Sidney Poitier. Myśmy się przyjaźnili z Nancy Paton, żoną Dawida, syna autora. Nancy opowiadała nam różne rzeczy, o których nie mieliśmy pojęcia, np. jak uciskani są ludzie i więzieni za przejawy przeciwstawiania się. Ale wówczas były to początki. Ruch wyzwolenczy zaczął przybierać na sile na dwa lata przed moim powrotem do Polski. Na rok przed wyjazdem byłem już świadkiem demonstracji i zamieszek w Johannesburgu, po aresztowaniu chyba 90 działaczy wolnościowych pod zarzutem zdrady stanu. Już po dniu czy dwóch do aresztowanych dołączono adwokata, który ich bronił. Zamieszki na ulicach z biciem pałami widziałem na własne oczy.

Już po moim wyjeździe, po odłączeniu się od Brytyjskiej Wspólnoty Narodów i proklamowaniu Republiki, zaczęły się słynne krwawe starcia w Sharpeville, ale ja już byłem wówczas w Polsce. O tym, co działo się później, wiem tyle samo, co i inni z doniesień, więc o tym nie piszę.

Czarny człowiek był uciskany i traktowany jak bydło. Nie miał żadnych praw obywatelskich, nie miał szans w sporze z białym. Z drugiej strony, biali byli od dziecka wychowywani w przeświadczeniu, że czarni mieszkańcy Afryki są wszyscy prymitywni i głupi i że nie można pozwolić im na nic oprócz w najlepszym razie traktowania po ludzku, jak dobrych służących. Jeśli ktoś jest od urodzenia wychowywany w jakimś duchu, trudno mu się dziwić, że rzeczywistości nie dostrzega. Do innego sposobu myślenia można dochodzić tylko poprzez czytanie, podróże, gdzie widać, że gdzieś indziej może być inaczej, bądź poprzez samodzielny proces intelektualny. Nie każdy biały Południowoafrykańczyk był rasistą ze świadomego przekonania. Większość była rasistami z wychowania i po prostu przyjmowała bez zastanawiania się, że to, co się dzieje, jest słuszne. Wielu pomału zaczynało widzieć, że coś tu jest nie tak, jak być powinno. Wiele dobrego robił w tym kierunku Uniwersytet Witwatersrand w Johannesburgu. Ale ile ludzi studiuje na uniwersytecie? Droga do zrozumienia była jeszcze bardzo daleka, a najgorsze miało się dopiero zacząć. To właśnie na tym uniwersytecie poznałem ludzi, z którymi znalazłem wspólny język na tematy społeczne, którzy tak samo jak ja dostrzegali straszną niesprawiedliwość. W ostatnim roku mojego pobytu zapisałem się do Liberal Party of South Africa, która w swoim logo miała czarną i białą dłoń w uścisku. Jedyna partia, która się przeciwstawiała apartheidowi, i jedyna partia, do jakiej w życiu należałem.

W ostatnich latach mojego pobytu tam władze zaczęły wprowadzać programy edukacji i poprawy bytu czarnych, pod warunkiem totalnego podporządkowania się politycznego, czyli rezygnacji z wszelkich praw. Powstał w ten sposób paradoks. Wokół dźwigały się do samodzielnego bytu świeżo wyzwolone państwa afrykańskie, w których panowała pozostawiona przez niedawnych kolonizatorów skrajna nędza, ale za to były swobody, nawet posunięte do tego stopnia, że szybko wolność zdegenerowała się do się bratobójczych wojen domowych pomiędzy konkurującymi frakcjami politycznymi, nieprzywykłymi do pokojowego i parlamentarnego załatwiania sporów. W Południowej Afryce, natomiast, wolności ani żadnych swobód nie było, ale już wówczas wielu ludzi czarnych żyło na znacznie wyższym poziomie, niż w krajach sąsiadujących. Tylko że bez elementarnych swobód nie da się utrzymać żadnego społeczeństwa.

Myśląc o Południowej Afryce, która była mi domem przez dziesięć lat, nie zapominam nigdy, że lotnicy z tego kraju ginęli nad Polską, niosąc pomoc dla Powstania Warszawskiego. Że wielu żołnierzy przyczyniło się walnie do zwycięstwa Aliantów pod El Alamein. Że wielu z nich było ludźmi kulturalnymi, miłymi i uczciwymi. Tylko w sprawach rasy mieli poglądy wpojone im od dziecka. Nie traktowali ludzi czarnych brutalnie ani niegrzecznie, ale po prostu z nimi się nie mieszała, bo nie przyszło im do głowy, że coś takiego jest możliwe.

Wiem, że obecnie w RPA jest wysoka przestępczość, co nie dziwi w kraju przechodzącym jeszcze transformację polityczną. Mam jednak wielki szacunek do Nelsona Mandeli za to, że po przywróceniu należnych praw czarnej ludności nie dopuścił do zemsty na białych, na co z pewnością wielu miało ochotę i trudno byłoby im się dziwić.

W pierwszych dniach lutego 1959 r. stałem na pokładzie „Athlone Castle”, który, po wydostaniu się z portu Cape Town, całą naprzód skierował się na północ. Kończył się właśnie drugi etap mojego życia, etap, który mnie ukształtował i wywarł wpływ na wszystko, co później miało być moim udziałem. Opuszczałem Południową Afrykę z tego samego miejsca, w którym blisko trzysta lat wcześniej rozpoczęła się romantyczna i burzliwa historia tego kraju. Był mi domem przez dziesięć lat. Dojrzywałem w nim, kształciłem się i poznawałem życie. Spotkałem wielu ciekawych, szlachetnych ludzi, ale widziałem też straszliwą ludzką niesprawiedliwość, nierówność, w której ja byłem po stronie uprzywilejowanych. Widziałem także obojętność „mojej” strony na los tej drugiej. W owej chwili na statku nawet nie zastanawiałem się nad tym. Podniecała mnie myśl, że nareszcie wracam do Polski. Bez typowych emocji związanych z rozstawaniem się, bardziej jako turysta, patrzyłem na coraz mniejszą i coraz bardziej oddalającą się sylwetkę Góry Stołowej ze swoim białym obrusem z chmur. Po godzinie i ona zniknęła za horyzontem.



Góra Stołowa w Cape Town, z lewej Devil's Peak, z prawej Lion's Head